TEATR POLSKI WE WROCŁAWIU

SEZON 1982/83

Dyrektor i kierownik artystyczny:
IGOR PRZEGRODZKI

Kierownik literacki:
ELŻBIETA MORAWIEC

Kierownik muzyczny:
ZBIGNIEW PIOTROWSKI

Zastępca dyrektora:
JERZY TACZALSKI

TEATR KAMERALNY

Fiodor Dostojewski

KROKODYL

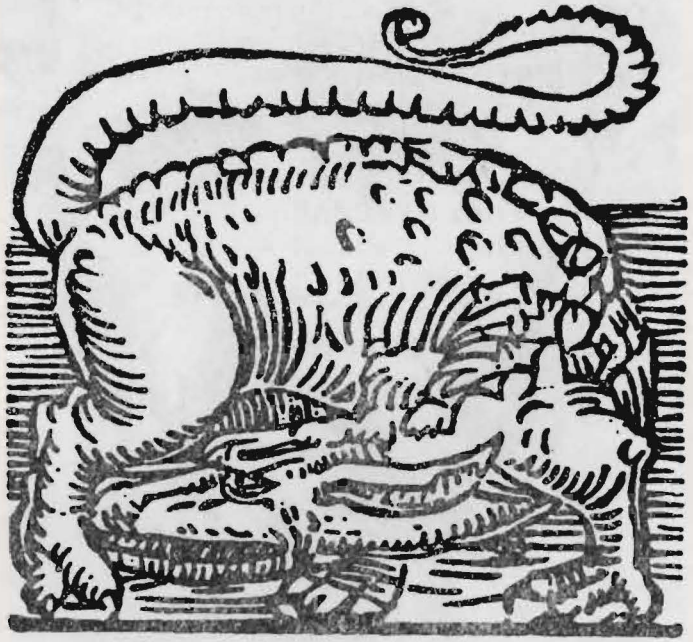

Przekład WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
Adaptacja i reżyseria EUGENIUSZ KORIN
Scenografia EUGENIUSZ KORIN, PAWEŁ OGIELSKI
Kostiumy BARBARA HANICKA
Muzyka i oprac. muzyczne ZBIGNIEW PIOTROWSKI

Prapremiera 29 lipca 1983

Fiodor Dostojewski (30.X.1821 — 28.I.1881) rys. Szarleman

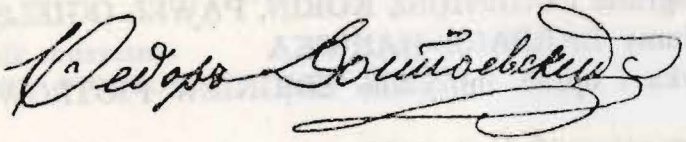

OBSADA

Mąż	— JERZY SCHEJBAL
Żona	— BOŻENA BARANOWSKA
Przyjaciel	— ZYGMUNT BIELAWSKI
Stary	— ELIASZ KUZIEMSKI
Ekselencja	— TADEUSZ SZYMKÓW
Niemiec	— ZBIGNIEW LESIEŃ
Mutter	— IGA MAYR
Policmajster	— CEZARY KUSSYK
Dziennikarz	— BOGDAN MISIEWICZ
Asystent reżysera	— TADEUSZ SZYMKÓW
Asystent scenografa	— BARBARA KOTYS
Inspicjent	— KAZIMIERZ HERBA
Nagrania	— HUBERT BREGULLA
Realizacja dźwięku	— ANDRZEJ KRÓL
Światło	— EDWARD JANCZYN
Sufler	— WANDA JASIUKIEWICZ-ŁOZA

Dwie przerwy.

Eugeniusz Korin

Krótki lecz wstrząsający

PROLOG

Przedtem, nim widzowie w swoich wygodnych fotelach przeniosą się w czas odległy, a mianowicie do 13 stycznia 1865 roku, o wpół do dwunastej w południe, do Petersburga, na ulicę Sadową, do maleńkiego saloniku w mieszkaniu wykształconego biuralisty i poniekąd człowieka na stanowisku — Iwana Matwieicza (MĘŻA) i jego małżonki, czarującej Heleny Iwanowny (ŻONY) — otóż przedtem zdarzy się (i niech nam widzowie wybaczą, bo prawie przed ich oczami) rzecz następująca: COŚ potwornie wielkiego, błotnistego, a raczej w kolorze brudnej, albo jak to się zwykle mówi, gabinetowej zieleni, COŚ wyda przeraźliwy dźwięk, który będzie z lekka przypominał ziewnięcie naraz dwu plutonów grenadierów gwardii przybocznej łaskawie (wtedy) panującego Monarchy: po czym owe COŚ zamknie swoją paszczę odsłaniając oczom wyżej wspomnianych widzów (także wyżej wspomniany) salonik.

*

EPILOG

właściwie go nie będzie, zamiast epilogu dajemy jedną zwrotkę bardzo śmiesznej piosenki ze starego petersburskiego folkloru:

„Pa ulicam chodiła
Balszaja krokodiła
Ana, ana —
Zielonaja była".

Sztuka jest zawsze współczesna i aktualna, nigdy nie istniała na innej zasadzie, a przede wszystkim na innej zasadzie istnieć nie może.

Fiodor Dostojewski

Fiodor Dostojewski

Notatki z podróży

(...) Nie wiem na pewno, ale wydawało mi się, że Niemiec się stawia. „Pewnie się domyślił,że jestem cudzoziemiec, i to Rosjanin — pomyślałem. W każdym razie jego oczy wyraźnie mówiły: „Widzisz nasz most, ty nieszczęsny Rosjanin — no więc tyś robak wobec nasz most i wobec każdy niemiecki człowiek, bo ty nie masz takiego mostu!" Przyznajecie sami, że to denerwujące. Oczywiście Niemiec wcale tego nie mówił, może nawet mu to przez myśl nie przeszło, ale to wszystko jedno: byłem tak pewien wtedy, że właśnie to chce powiedzieć, że po prostu zawrzałem. „Niech to licho porwie — myślałem — myśmy też wynaleźli samowar... mamy czasopisma... u nas robią oficerskie rzeczy, u nas..." — słowem rozzłościłem się i kupiwszy butelkę wody kolońskiej (od której ani rusz się nie mogłem wykręcić), bezzwłocznie pomknąłem do Paryża z nadzieją, że Francuzi będą milsi i bardziej zajmujący. (...)

A więc jestem w Paryżu... Nie wyobrażajcie sobie jednak, że dużo się ode mnie dowiecie o samym mieście Paryżu. Pewnie już tyle się o nim naczytaliście po rosyjsku, że w końcu znudziło się czytać. Co do mnie, to będąc za granicą nie cierpiałem oglądać

Paryż w latach pięćdziesiątych XIX w.

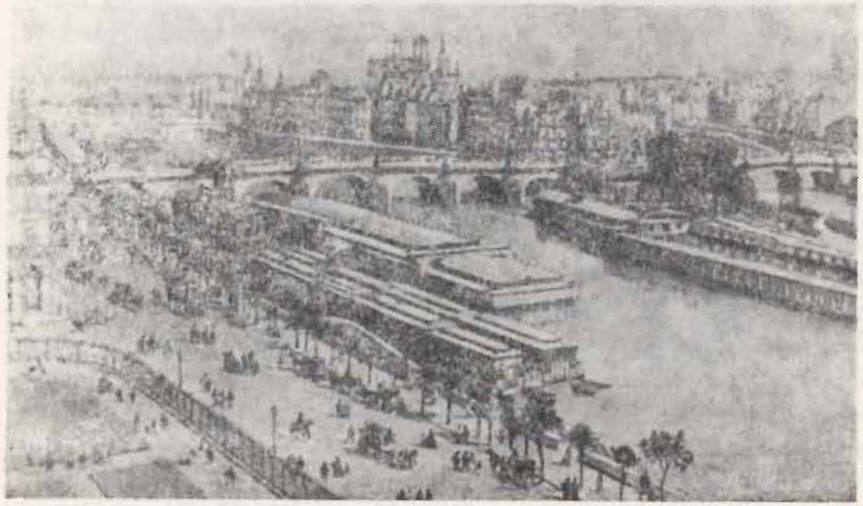

podług przewodnika, na zamówienie, z obowiązku podróżnika i dlatego przeoczyłem gdzieniegdzie takie rzeczy, że nawet wstyd się przyznać. W Paryżu też przeoczyłem, ale za to powiem coś innego: określiłem Paryż, dobrałem do niego epitet i obstaję przy tym epitecie. A mianowicie: Jest to najmoralniejsze, najcnotliwsze miasto na całej kuli ziemskiej. Co za porządek? Jaka rozwaga, jakie ściśle określone i utrwalone stosunki! Jak wszystko zabezpieczone i poszufladkowane; jacy wszyscy zadowoleni, jak starają się wmówić sobie, że są zadowoleni i zupełnie szczęśliwi, i jak wreszcie dopięli swego: naprawdę wmówili sobie, że są zadowoleni i zupełnie szczęśliwi, i... i poprzestali na tym. Wszystko stanęło w miejscu. Nie uwierzycie pewnie, że poprzestali na tym; zawołacie, że przesadzam, że to złośliwe szowinistyczne oszczerstwo, że nie mogło przecież wszystko naprawdę stanąć w miejscu. Ale moi drodzy, sam przecież was uprzedzałem w pierwszym rozdziale tych notatek, że będę pewnie okropnie bujał. Więc mi nie przeszkadzajcie. Wiecie także z pewnością, że nie bujam. A to, moim zdaniem, aż nadto wystarczy. A więc nie krępujcie mnie w niczym.

Tak, Paryż to niezwykłe miasto.

F. Dostojewski, O literaturze i sztuce, WL, 1976.

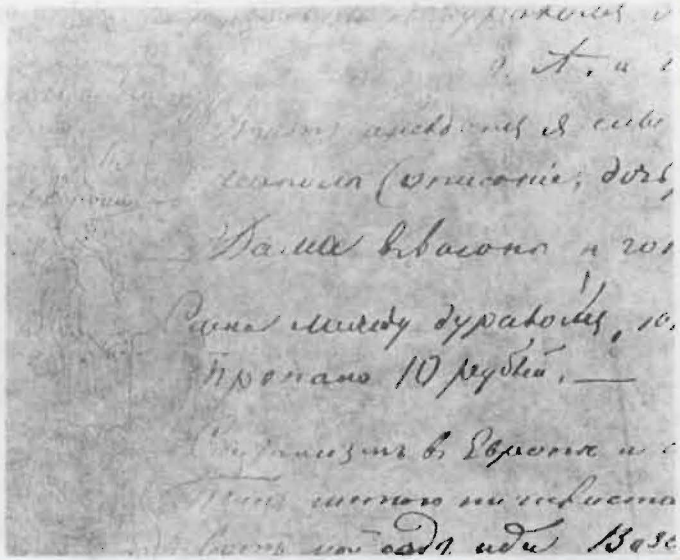

Fiodor Dostojewski

O KROKODYLU

Jakieś półtora roku później wpadłem na pomysł napisania fantastycznej opowiastki, czegoś w rodzaju naśladownictwa „Nosa" Gogola. Nigdy jeszcze nie próbowałem pisać czegość w tym rodzaju. Był to figiel czysto literacki, wyłącznie dla zabawy. Nasunęło mi się rzeczywiście kilka komicznych pomysłów, które miałem ochotę rozwinąć. Może warto, ale opowiem treść, aby wytłumaczyć, co z niej potem wysnuto. Wtedy w Petersburgu, w Pasażu, pewien Niemiec pokazywał za pieniądze krokodyla. Jakiś petersburski urzędnik przed wyjazdem za granicę idzie ze swą młodą żoną i z nierozłącznym przyjacielem do Pasażu, oglądają różne rzeczy, między innymi wstępują, żeby zobaczyć krokodyla. Urzędnik ten pochodzi ze średniozamożnej warstwy, posiada pewne fundusze jest jeszcze młody, ale już udręczony ambicją, a przede wszystkim głupi, jak niezapomniany major Kowalow, który zgubił swój nos. Ma komicznie wysokie mniemanie o sobie, jest niezbyt wykształcony, ale uważa siebie niemal za geniusza, w departamencie natomiast traktują go jak miernotę i czuje się wiecznie obrażony, bo nikt nie zwraca na niego uwagi. Jakby mszcząc się za to, musztruje i tyranizuje przyjaciela, człowieka bez charakteru, pusząc się przed nim swoim rozumem. Przyjaciel nienawidzi go, ale znosi wszystko, bo kocha się skrycie w jego żonie. W Pasażu damulka, młoda i ładna, w czysto petersburskim typie, głupia kokietka ze średniej warstwy, długo przygląda się małpom, które pokazują tam również. Tymczasem jej genialny małżonek rozdrażnił czymś sennego dotychczas, leżącego jak kłoda krokodyla: ten raptem otwiera paszczę i połyka go całego bez reszty. Wkrótce się okazuje, że wielki człowiek nie odniósł najmniejszego szwanku; przeciwnie, z właściwym sobie uporem oświadczył krokodylowi, że bardzo dobrze się w nim czuje. Przyjaciel i żona starają się u władz o jego uwolnienie. W tym celu wydawałoby się rzeczą absolutnie konieczną zabić krokodyla, rozkrajać go i uwolnić człowieka, ale jest to związane z odszkodowaniem dla właściciela bestii — Niemca i jego nieodłącznej Mutter. Niemiec początkowo jest oburzony i zrozpaczony — obawia

się, iż jego krokodyl, który połknął „ganz urzędnik", może zdechnąć, ale wkrótce się orientuje, że połknięty — i pozostały przy życiu — członek petersburskiej administracji może mu z czasem przynieść niezwykłe dochody w całej Europie. Żąda więc za krokodyla ogromnej sumy, a ponadto dla siebie rangi rosyjskiego pułkownika. Z drugiej strony władze są w niemałym kłopocie — zbyt nowy to w ministerstwie wypadek, bez precedensu. „Żeby był jakikolwiek precedensik w przeszłości, wówczas możnaby działać, bo tak to kłopotliwe". Władze podejrzewają również, że urzędnik wlazł w krokodyla wskutek jakichś zakazanych liberalnych tendencji. Małżonka tymczasem stopniowo dochodzi do przekonania, że jej sytuacja „poniekąd wdowy" jest raczej interesująca. Połknięty małżonek oświadcza tymczasem przyjacielowi stanowczo, że dla niego jest teraz znacznie korzystniej zostać w krokodylu niż na posadzie, ponieważ obecnie mimo woli zwróci na siebie uwagę, czego nigdy przedtem nie mógł osiągnąć. Nalega, aby żona jego zaczęła prowadzić dom otwarty i żeby na jej przyjęcia przynoszono go razem z krokodylem w skrzyni. Jest przekonany, że na te przyjęcia rzuci się cały Petersburg i wszyscy dygnitarze — oglądać nowy fenomen. Z tego właśine zamierza skorzystać: „Będę głosił prawdę i pouczał· mężowi stanu udzielę rady, przed ministrem wykażę się zdolnościami" — mówi uważając, że już jest jakby nie z tego świata, uprawniony do udzielania pouczeń i ferowania wyroków. Na ostrożne lecz jadowite pytanie przyjaciela: „A gdybyś tak wskutek jakiegoś nieoczekiwanego procesu, którego zresztą należy oczekiwać, został przetrawiony na coś takiego czego nie oczekujesz?" — wielki człowiek odpowiada, że myślał już o tym, ale z oburzeniem będzie się opierał temu nader możliwemu, leżącemu w prawach natury zjawisku. Małżonka atoli nie zgadza się urządzać przyjęcia z taką intencją, mimo że sama ta myśl jest jej miła: „Jakże to mego męża będą przynosić do mnie w skrzyni? — zapytuje. Sytuacja „poniekąd wdowy" podoba się jej coraz bardziej. Zaczyna być modna, budzić zainteresowanie. Przyjeżdża do niej zwierzchnik jej męża i grywa z nią w karty... Oto część pierwsza tej błazeńskiej opowiastki — nie jest ona bowiem ukończona. Kiedyś koniecznie muszę dokończyć, chociaż już o niej zapomniałem i musiałem ją teraz przeczytać, żeby sobie przypomnieć.

Co jednak zrobiono z tej bagatelki! Ledwo pojawiła się w piśmie „Epocha" (w 1865 roku), nagle „Gołos" w felietonie zrobił dziwną uwagę. Nie pamiętam dosłownie, ale sens był mniej więcej taki: „niepotrzebnie autor „Krokodyla" wkracza na taką drogę — nie przyniesie mu to ani zaszczytu ani spodziewanych korzyści" itp. Następowało kilka mglistych i nieżyczliwych docinków. Przeczytałem to pobieżnie, nic nie zrozumiałem, widziałem tylko dużo jadu, ale nie znałem przyczyny. Ten mglisty felietonowy głos sam przez się nie mógł mi oczywiście zaszkodzić — nikt z czytelników i tak by go nie zrozumiał, podobnie jak ja, ale raptem w jakiś tydzień później M.N.S. powiedział mi: „Wie pan co tam myślą? Tam są pewni, że pański „Krokodyl" to alegoria, historia zesłania Czernyszewskiego*), i że chciał pan przedstawić i wykpić Czernyszewskiego". Zdziwiłem się wprawdzie, ale niebardzo się zaniepokoiłem. Małoż to bywa domysłów na świecie? Pogląd ten wydał mi się zbyt jednostkowy i naciągnięty, aby się mógł rozpowszechnić, toteż uznałem protest za zupełnie zbyteczny. Nigdy sobie tego nie wybaczę, gdyż ten pogląd utrwalił się i rozpowszechnił.

Kaźń Czernyszewskiego

Jestem zresztą nadal przekonany, że tu wcale nie było oszczerstwa — bo dlaczegóż miałoby być, w jakim celu? Prawie z nikim z literatów się nie kłóciłem, w każdym razie nie bardzo. Teraz, w tej chwili, dopiero drugi raz na przestrzeni dwudziestu siedmiu lat mojej działalności literackiej mówię o swoich sprawach osobistych. Była to po prostu jakaś tępota — ponura, przewrażliwiona tępota, która zabiła ćwieka jekiejś głowie „z tendencją". Jestem przekonany, że ta mądra głowa jest całkowicie pewna po dziś dzień, że się nie pomyliła, że ja napewno znęcałem się nad nieszczęśliwym Czernyszewskim. Jestem nawet przekonany, że żadne moje wyjaśnienia i tłumaczenia nie zmienią jej zdania na moją korzyść nawet teraz. Bo to wszakże głowa głęboko myśląca.

Na czym polega tu alegoria? No oczywiście krokodyl — to Syberia, zadufany i lekkomyślny urzędnik — to Czernyszewski. Znalazł się w krokodylu, ale mimo to żywi nadzieję, że będzie pouczał cały świat. Jego bezwolny przyjaciel, którego tyranizuje — to tutejsi przyjaciele Czernyszewskiego. (...)

A więc założono, że ja, sam były zesłaniec i katorżnik, ucieszyłem się z zesłania innego „nieszczęśliwca"; mało tego napisałem z tej racji wesolutki paszkwil. (...) Przypomnijmy sobie, jak w dawnych czasach, pod sam koniec lat czterdziestych na przykład cenzorzy badali rękopisy, a nawet afisze: nie było wiersza, nie było kropki, w których nie podejrzewano by czegoś, nie szukano jakiejś aluzji. Niech lepiej ktoś przytoczy jakikolwiek fakt z całego mojego życia na dowód, że mam w sobie coś ze złośliwego, okrutnego paszkwilanta i że można się po mnie spodziewać takich alegorii.

Właśnie pośpiech i skwapliwość podobnych bezpodstawnych wniosków świadczy o niezbyt wysokim poziomie etycznym oskarżycieli, o ich prostackim niehumanitarnym podejściu do sprawy. Nie usprawiedliwia tego domysłu nawet jego naiwność. Można być też naiwnie nikczemnym i basta.

F. Dostojewski, Dziennik pisarza, tom I, PIW,1982

Fiodor Dostojewski

Człowiek podziemny — to najważniejszy człowiek w rosyjskim świecie. Spośród wszystkich pisarzy najwięcej o nim mówiłem ja, chociaż mówili to także inni, bo nie mogli nie zauważyć.

Z kroniki petersburskiej

Czy wiecie państwo, jak wiele znaczy w naszej wielkiej stolicy człowiek mający zawsze w zanadrzu jakąś nowinę, jeszcze nikomu nieznaną, a ponadto obdarzony talentem przyjemnego opowiadania? Moim zdaniem to niemal wielki człowiek; a już bezspornie lepiej mieć w zapasie nowinę niż mieć kapitał. Kiedy petersburżanin dowie się jakiejś rzadkiej nowiny i pędzi, aby ją opowiedzieć z góry czuje jakąś lubieżność duchową; głos mu drży, słabnie z

rozkoszy, serce jakby się kąpie w olejku różanym. W tym momencie, póki jeszcze nie opowiedział swojej nowiny, póki podąża do przyjaciół Newskim Prospektem, pozbywa się naraz wszystkich swoich przykrości, nawet (co zaobserwowałem) pozbywa się najbardziej zadawnionych chorób, nawet przebacza z radością wrogom. Jest spokojny i wielki. A dlaczego? Dlatego, że petersburżanin w takiej uroczystej chwili poznaje całą swoją godność, całą wagę i oddaje sobie sprawiedliwość. Nie dość na tym. Znam, a i państwo zapewne też znacie, wielu panów, których (gdyby nie obecne uciążliwe warunki) za nic na świecie nie wpuścilibyśmy po

raz drugi za próg, w odwiedziny do naszego kamerdynera. Kiepsko! Taki pan sam rozumie, że zawinił i bardzo przypomina psiaka, który spuścił ogon i uszy, i oczekuje kary. Raptem nadchodzi ta chwila; ten sam jegomość dzwoni do nas ochoczo, wyniośle przechodzi obok zdziwionego lokaja, niewymuszenie, z promieniującą twarzą podaje nam rękę, i dowiadujemy się natychmiast, że ma pełne prawo do tego, że jest nowina, plotka albo coś bardzo przyjemnego, nie odważyłby się jednak taki pan wejść do nas bez takiej okazji. I słuchamy nie bez przyjemności...

Plotka jest smaczna, proszę państwa! Często myślałem, że gdyby się zjawił u nas w Petersburgu taki talent, który by odkrył jakąś nowość dla przyjemnego współżycia, coś, czego nie było jeszcze w żadnym państwie — to doprawdy nie wiem, jakie pieniądze zdobyłby taki człowiek. Ale my wciąż biedujemy z naszymi domorosłymi zabawiaczami, pochlebcami i wesołkami. (...)

Nie możecie sobie państwo wyobrazić, jaki to miły obowiązek mówić z wami o petersburskich nowinach i pisać dla was kronikę petersburską! Powiem więcej: to nawet nie obowiązek lecz największa przyjemność. Nie wiem czy rozumiecie całą moją radość. Ale doprawdy jakże przyjemnie jest zebrać się, posiedzieć i pogawędzić o sprawach publicznych. Gotów jestem nawet czasami zaśpiewać z radości, kiedy wchodzę na zebranie towarzyskie i widzę niezwykle wytwornych, czcigodnych ludzi, którzy się zebrali, siedzą i statecznie o czymś gawędzą, nic zarazem nie tracąc ze swej godności. O czym gawędzą,to już inna sprawa, niekiedy zapominam nawet wsłuchać się w ogólną rozmowę, zadawalając się całkowicie samym widokiem, który przystoi wspólnocie. Serce moje wypełnia pełen czci zachwyt.

Ale wgłębić się w sens, w t r e ś ć tego, o czym mówią u nas ludzie z towarzystwa, światowi ludzie nie bądący kołem, jakoś dotychczas nie zdążyłem. Bóg jeden wie, co to jest! Oczywiście bezspornie coś niepojęcie uroczego, jako że tacy stateczni i mili ludzie, ale wszystko jest jakieś niezrozumiałe.

F. Dostojewski, Dziennik pisarza, t. 1.

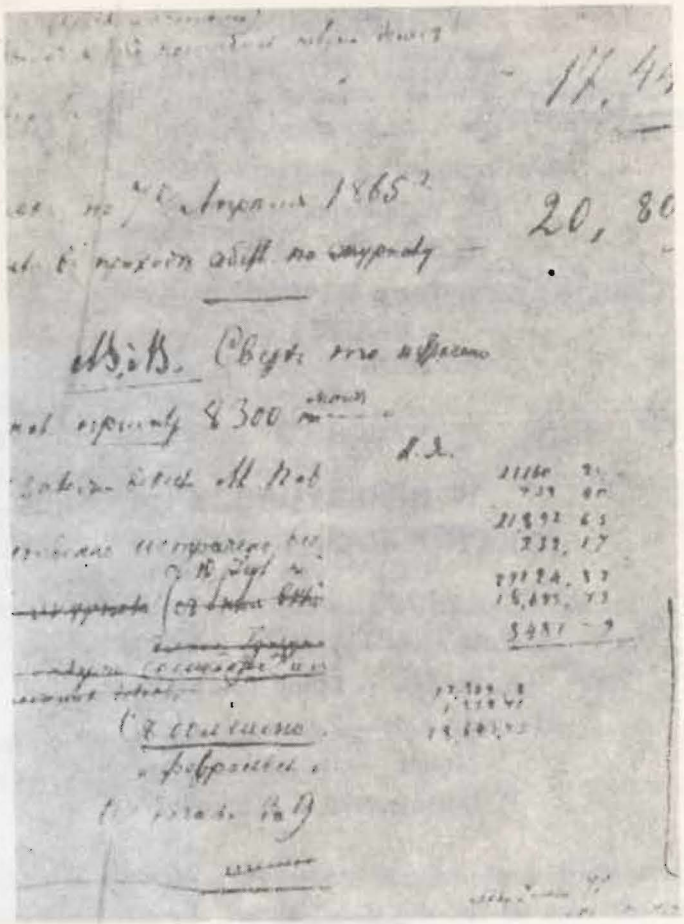

Notatka Dostojewskiego o długach dziennika „Epoka"

*) Mikołaj Gawryłowicz Czernyszewski (1828—1889) — pisarz, publicysta i krytyk, przywódca (obok Dobrolubowa) rewolucyjnych demokratów duchowy przewodnik postępowej młodzieży rosyjskiej. W latach 1855—1862 współpracował z „Sowremiennikiem", który pod jego wpływem stał się radykalnym organem obozu demokratycznego. W 1862 roku został za udział w ruchu rewolucyjnym aresztowany i skazany na siedem lat ciężkich robót i dożywotnie zesłanie.

Dostojewski, ideowy przeciwnik Czernyszewskiego, zachował jednak niekłamany szacunek dla niego jako człowieka i pisarza.

W REPERTUARZE TEATRU POLSKIEGO

W. Gombrowicz — Trans-Atlantyk
S. I. Witkiewicz — Szewcy
W. Szekspir — Perykles
J. Brzechwa — Tryumf Pana Kleksa

W REPERTUARZE TEATRU KAMERALNEGO

F. Zabłocki — Fircyk w zalotach
A. Fredro — Damy i huzary
I. Iredyński — Żegnaj, Judaszu
Molier — Świętoszek
F. Dostojewski — Krokodyl

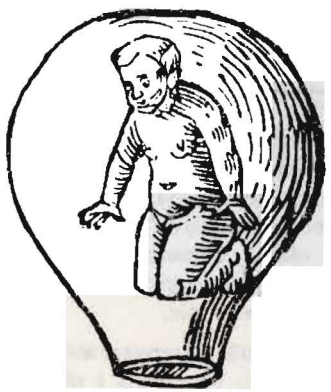

Kierownik techniczny: HENRYK BORYCKI
Brygadier sceny Teatru Polskiego: ANTONI KOŁACZEK
Brygadier sceny Teatru Kameralnego: KAZIMIERZ TARSA

Kierownicy pracowni:

krawieckiej damskiej: WŁADYSŁAWA MASZTALERZ
krawieckiej męskiej: JERZY HELAK
perukarskiej: ZOFIA HEJNE-BREGULLA
szewskiej: JERZY PORZYCZEK
modelarskiej: ANDRZEJ GEMBORYS
stolarskiej: JERZY DOMŻALSKI
malarskiej: TADEUSZ CHĄDZYŃSKI
tapicerskiej: WŁODZIMIERZ POMORSKI
ślusarskiej: BRONISŁAW KROWICKI
elektroakustycznej: HUBERT BREGULLA
elektrotechnicznej: KAZIMIERZ PIĄTEK

Kierownik Biura Obsługi Widzów:
WIESŁAWA ŻUREK

Zamówienia na bilety przyjmuje codziennie w godz. 9—16 Organizacja Widowni, ul. Zapolskiej 3, tel. 387-89 oraz 386-53, w. 91.

Redakcja programu: Maria Dębicz
Opracowanie graficzne: Edward Kostka

Teatr Polski
ul. Zapolskiej 3
50-032 Wrocław

Teatr Kameralny
ul. Świdnicka 28
tel. 44-62-01

CENA 25 ZŁ

Instytut Teatralny
ze zbiorów Polskiego Ośrodka ITI

WZGraf. Z-d, 2 zam. 701/83, n. 3000, A5, U-5.

EGZEMPLARZ
BEZ Y